POLAK
W BRAZYLJI
Pismo tygodniowe — dla wszystkich.

29 Stycznia 1909 r. REDAKTOR I WYDAWCA *KAZIMIERZ WARCHAŁOWSKI.* **Rok V Nr. 5**

POLAK W BRAZYLJI

kosztuje:

Rocznie	8 milr.
Półrocznie	4 milr.
W Królestwie Polskim i Rosji	7 rubli
W Niemczech	14 marek
W Austrji	16 koron
W Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej	3 dolary.

Numer pojedyńczy kosztuje 200 rs.
Drobne ogłoszenia po 200 rs. za wiersz lub jego miejsce.

Adres dla listów i przesyłek pieniężnych:

„POLAK W BRAZYLJI“
Caixa postal Nr. 122
CURITYBA — PARANA — BRAZIL.

UWAGA. — Przesyłki pieniężne i wszelką korespondencję do Redakcji należy adresować, jak podano wyżej, — BEZ DODAWANIA JAKIEGOKOLWIEK NAZWISKA, gdyż adresowanie imienne sprowadzić może niepożądane opóźnienie w odbiorze listów. —

PRENUMERATĘ „POLAKA W BRAZYLJI“ p. p. [illegible] na warunkach redakcyjnych p. p.
Bolesław Klossowski — Ponta Grossa.
Wojciech Troczyński — S. Matheus.
Antoni [illegible]bowski — Agua Branca.
Józef Dytz — Ijuhy.
Paweł Tymoteusz Wielewski — Lucena.
Paweł Miecznikowski — Rio Claro.
Józef Brudziński — Rio dos Patos.
Jan Zwierzykowski — Sw. Barbara.
Wincenty Hamerski — Guarany.
Władysław Szulczewski — S. Feliciano.
Antoni Kurkiewicz — Rio Negro.
Edward Stelczyk — Porto Alegre.
Antoni Wnorowski—Miguel Calmon.

Redakcja mieści się
przy placu TIRADENTES Nr. 31
TELEFON N. 167
Redakcja otwarta codziennie od 8 rano do zmroku z wyjątkiem niedzieli.

Dziwna polemika.

Dziwna zaiste polemika powstała pomiędzy „Polakiem“, a „Gazetą Polską“.

Dziwna,—bo jedna ze stron spierających się zdradza zupełną nieznajomość rzeczy, do której się bierze.

Dziwna,—bo tą stroną jest „Gazeta Polska„, redagowana przez księdza katolickiego od którego mielibyśmy prawo wymagać większej znajomości przedmiotu. Dziwna, bo „Gazeta Polska“ przypisuje kościołowi katolickiemu te zdania i twierdzenia, które ten kościół zupełnie kategorycznie potępił.

Dla przykładu biorę pierwsze lepsze twierdzenie „Gazety Polskiej“.

„....nie jest prawdą, że wszystkie twierdzenia zawarte w Biblji, są wedle nauki kościoła przez samego Boga objawionymi“.

Według nauki jakiego kościoła? Śmiem zapytać. Bo kościół katolicki zupełnie wyraźnie się w tej sprawie wypowiedział. Ostatni Syllabus Papieża z dn. 3 Lipca 1907 r. zawiera zupełnie wyraźne potępienie odpowiednich twierdzeń, jakie szan. oponent przypisuje właśnie kościołowi. Mianowicie z Syllabusu wynika, że kościół katolicki uznaje, że biblja, jak w całości, tak i w szczegółach jest wolna od błędów i że autorem jej jest sam Bóg. Twierdzenia zaś podobne tym, jakie głosi „Gazeta Polska“ Kościół uznał za heretyckie i niezgodne z wiarą katolicką.*)

Otrzymujemy następujący obrazek: „Gazeta Polska“ pisze, że nie wszystkie twierdzenia Biblji są przez Boga objawionymi, a papież potępia twierdzenie, że w Biblji są błędy, oraz że autorem pisma świętego nie jest sam Bóg.

*) Przytaczam odpowiednie paragrafy Syllabusu, który potępił i uznał za niezgodne z wiarą katolicką następujące twierdzenia:

IX Kto mniema, że autorem pisma świętego jest Pan Bóg, wykazuję zupełne prostactwo i nieuctwo.

XI Objawienie boże nie stosuje się w ten sposób do Biblji, aby ona w całości, lub szczególach była wolna od błęców.

Niech czytelnicy sami osądzą, kto ma większą powagę w kościele, czy papież, czy redakcja „Gazety Polskiej“.

W tym samym numerze pisze „Gazea Polska“: „Żadna religja, i żadna książka objawiona nie rości sobie pretensji do tego, aby ktoś w niej szukał wytłumaczenia zjawisk należących do astronomji, fizyki, chemji, biologji i t. d.“

Tymczasem Syllabus papieża potępił tych, którzy twierdzą, że „z chwilą, gdy artykuły wiary zawierają tylko prawdy objawione, kościół niema prawa powagi swej używać do cenzurowania wyników wiedzy ludzkiej“. Czyli — Gazeta Polska powiada, że kościół nie rości sobie pretensji do wtrącania się w sprawy nauki, a kościół ustami papieża, potępia tych, którzy takie zdanie wygłaszają.

Wogóle artykuły Gazety Polskiej, usiane są twierdzeniami, jakie ich autor przypisuje kościołowi, a od których kościół katolicki odżegnuje się. Artykuły te noszą na sobie wszystkie znamiona herezji tak zwanych modernistów, którą kościół tak gorąco potępił.

Cała polemika jest w nadzwyczaj dziwny sposób prowadzona.

W każdej dyskusji należy odróżniać myśl główną, którą się zwalcza, lub której się broni, od myśli drugorzędnych, mających na celu potwierdzenie swojej, lub obalenie myśli przeciwnika.

Taką myślą główną w moich poprzednich artykułach było twierdzenie, że kościół katolicki zasadniczo jest wrogiem nauki. Dla przykładu wziąłem sprawę Kopernika. Za pomocą wyjątków z dzieł ojców kościoła stwierdziłem, że od najdawniejszych czasów kościół uważał siebie za wyrocznię w sprawach nauki, że zarówno z dzieł najdawniejszych teologów, jak i najnowszych widzimy, że kościół zawsze powagi swojej nadużywał dla walki z nauką.

Przytoczyłem jako przykład biskupa Filastriusza, który groził potępieniem tym, co się nie zgadzają na jego dziwaczne poglądy. Przykład ten nie podobał się Gazecie Polskiej. Zupełnie zgadzam się z Gazetą Polską, że Filastriusz nie był orłem w dziedzinie nauki, ale właśnie o to mi chodziło, żeby stwierdzić, że takie odpowiedzialne stanowiska jak biskupów, kościół powierzał takim bezkrytycznym i ciemnym ludziom jak pomieniony Filastriusz, którzy nadużywali władzy swojej i powagi dla propagowania swoich dziwacznych poglądów. Odpowie mi mój oponent, że Filastriusz żył w czwartym wieku? Tak, ale na dalszych przykładach dowiodłem przecie, że i w późniejszych czasach teologowie grozili potępieniem tym, którzy odmienne stanowisko zajmowali już nie w dziedzinie dogmatów, ale w czysto przyrodniczych kwestjach, jak na przykład w astronomii.

Nakoniec, przewidując że mi zrobią zarzut, że to nie kościół zwalczał naukę, ale „pewne, zresztą bardzo wpływowe osoby w kościele“ przytoczyłem wyjątki z dekretu papieskiego w tej sprawie. A przecież chyba nie potrzebujemy się spierać, że to, co papież ogłasza, nie jest osobistem zdaniem „pewnej, zresztą bardzo wpływowej osoby,“ lecz jest wyrokiem nieomylnym kościoła jako takiego.

Oponent stanowczo nie chce zrozumieć o co chodzi w naszej polemice. Czuje się on w obowiązku bronić stanowiska przytoczonych przezemnie teologów, twierdząc, że oni są niewinni temu, że twierdzili, że słońce obraca się naokoło ziemi, gdyż wszyscy wówczas byli tego samego zdania.

Nigdy nie miałem na myśli robić takich zarzutów teologom, ale zarzucałem im tylko to, że swoje poglądy naukowe, traktowali jako nieomylne, przez Boga objawione i, że, korzystając z władzy jaką wówczas posiadali, używali jej na prześladowanie tych, co odmienne zdanie wygłaszali.

Nie potrzebuje oponent przytaczać z „Encyklopedji kościelnej“ szczegółów o życiu przytoczonych przezemnie teologów, jak również bronić ich od zarzutu, że mylnie rozumieli zjawiska fizyczne, nie to im zarzucam, lecz tylko

Niemczaki.

Marja Konopnicka.

(Dokończenie.)

Jedna tylko trzechletnia dziewczynka, nastawiwszy do pocałunku rozchylone usta, dreptała od jednego do drugiego, zadzierając jasną główkę i obnosząc »buzi«.

— Jak wody! jak wody! tak to dziecko buzi daje! Nic nie żałuje! — — wołała zachwycona mama, pragnąc choć część powszechnej uwagi zwrócić na swoją pieszczotkę.

Ale stary pan, we drzwiach za wszystkimi stojący, nie zrobił kroku naprzód, tylko, pykając fajkę i dmuchając w wąsy, patrzył na malców z pod brwi siwych, zsuniętych krzaczastych.

— No, jakże, wuju! — zwrócił się do niego żywo gospodarz. — Jakże się wujowi chłopaki wydają? Zuchy, co? Taką drogę, i sami przebyli!

— At! — machnął ręką zapytany — wsadzili ich jak lalki w pudło, to i przyjechali

— No, ale ładne chłopaki? sprytne? dobrze ułożone?

— Niemczaki! — odrzekł na to stary pan i, odąwszy wargi, rękę tylko wyciągnął do pocałowania chłopcom, których w tej chwili właśnie gospodyni podprowadziła do dziadka. Poczem cofnął się i drzwi pokoju swego zamknął.

— Jakże ci na imię, kochanie? — spytała gospodyni serdecznym głosem, chcąc zatrzeć wrażenie tego powitania.

Okazało się, że chłopiec niebardzo wie, o co go pytają. Powszechne zdziwienie. Więc nie umie po polsku? Coś nie coś umie, ale nie tyle, żeby się rozmówić. Umie pacierz, umie nazwać ziemię i wieś, w której się urodziła matka, umie nawet wymówić nazwisko jej panieńskie, nazwisko dziadka. Ale i to wszystko kaleczy... Jakże? Mama cały dzień w sklepie, ojciec w kantorze, a służąca — niemka.

Tak i tak dowiedziano się nareszcie, że starszemu na imię Gustaw, a młodszemu Henryk. Imiona te przyjęto wprawdzie do wiadomości, ale się niemi jakoś nie posługiwano.

Natomiast przylgnęła do nich szczelnie i odrazu nazwa, nadana przez dziadka: »Niemczaki«.

Dzieci chwyciły to pierwsze, za dziećmi służba, gospodarze też jakoś to przyjęli, dość, że w całym dworze, ba, we wsi, nikt chłopców nie nazywał inaczej:

— Niemczaki, na obiad!

Niemczaki, chcecie mleka?

— Niemczaki, spać!

Prawie też, że i nie było o co więcej wołać. Chłopaczki były karne, łagodne, uprzejme, wesołe, a tak się pilnowały wzajem we wszelkim porządku, jakby tego i bona lepiej nie zrobiła. To też ta nazwa: »Niemczaki« nie miała w sobie nic wzgardliwego, nic nieprzyjaznego. Raz wraz owszem, powtarzano domowym dzieciom:

— Patrzcie, jakie to Niemczaki mają czyste ręce! Widzicie, jak to starszy Niemczak młodszemu nosek obciera? Patrzcie, jakie Niemczaki zgodne, jak się nie biją, nie kłócą! Czemu to wy nie jesteście tak, jak Niemczaki posłuszne i grzeczne?

Chłopcy też do tej nazwy jakoś przywykli, i tak do nich, jak skóra, przyrosła.

Minął miesiąc, minął drugi — Niemczaki, lubo z silnym akcentem, wcale nieźle po polsku szczebiotać zaczęli, przez co się jeszcze milsi, jeszcze bliżsi wszystkim uczynili. Niemczakami przecież zostali. Co do dziadka, ten zawsze na nich patrzył mrocznie. On sam czuł ciągle i pamiętał tę obcość ich rodu; on sam utrzymywał rozdział między sobą a wnukami; on sam też jeden w całym domu nadawał tej nazwie »Niemczaki« coś wzgardliwego, coś obraźliwego. Domowych chłopców, którzy mu byli, jako żerdź po płocie, na kolana brał, piosenki im stare gwizdał, myśliwskim swoim rogiem bawić się dawał. Czajki, wygrzewającej się na słońcu, dosiadać i targać za uszy nie bronił, ale Niemczakom — wara! Zdaleka tylko patrzeć na to musiały. Im nic nie było wolno. Co gorsza, wyłączone były z »Instrukcyi«. Instrukcją nazywał stary pan ćwiczenia swego pomysłu, rodzaj mustry, w której chłopcy to nosiły kije, jak strzelby, maszerując dokoła klombów, to uderzały niemi na płoty, jak bagnetami, to machały, broniąc się i atakując, jak szpadą, to ciskały, jak oszczepem, wszystko podług swego czasu, bo każdy dzień miał inne prawidła.

Nieprzypuszczone do »Instrukcji« Niemczaki, stały tymczasem zdaleka, miłosiernie patrząc i zazdroszcząc w duchu.

Starszy szczególniej, aż rumieńców dostawał na delikatnej twarzyczce, z taką pożądliwością na ćwiczenia patrzył.

Widziała to gospodyni i żal jej było dzieci.

— A czemuż to wuj Niemczaków nie weźmie do musztry? — rzecze raz i drugi.

— A im to na co? — odburknął stary pan gniewnie. A zmiarkowawszy się, dodał:

— Za słabi są na taką »Instrukcję«. Ręce jak patyki, nogi jak trzcinki, jeszczeby się to połamało do djaska.

O tych rękach, jak patykach, i nogach, jak trzcinkach, mówiło się — ot, aby mówić. Chłopaczki bowiem, harcując przez parę miesięcy po łąkach i polach, ogorzały, wzmocniały, zjędrniały nad podziw. Niechętne tylko oczy dziada nie chciały widzieć tego.

Nie o to mu też w gruncie rzeczy szło.

— Co w takich Niemczakach może być męskiego, rycerskiego, dziarskiego, szlacheckiego, obywatelskiego, coby rozwijać warto? Z łokcia to wyrosło i do łokcia pójdzie — ot co!

Tak sobie rozumował pan stary. Właściwie to i nie rozumował nawet. On tylko to czuł; a czucie upartsze bywa, niż rozumowanie.

Zdarzało się, że podczas »Instrukcji« trzeba było szerzej front rozwinąć, wzmocnić flanki. Stary pan oglądał się wtedy i, choć widział chłopaczków pokornie stojących, wołał Antka ogrodniczka, lub Józka szafarki, a Niemczaków na uboczu zostawiał.

Ale mieli i oni swoje uciechy.

Szczególniej starszy, kręcąc się u stajen albo na wygonie, w łaskach ukoniarków był bo im nieraz podwieczorek oddawał, za któ-

to, że grozili karami niebieskimi i doczesnymi wszystkim, którzy ośmielali się mieć inne zdanie w kwestjach czysto przyrodniczych i przez to odstraszali ludzi od badań naukowych.

To też oponent powinien był dowieść jedynie, że kościół, to jest zarówno papieże, jak też i inni działacze i dygnitarze kościoła, władzy swej nie używali dla walki z naukowymi teorjami.

Tego jednak Gazeta Polska nie czyni, bawiąc się gmatwaniem sprawy, na nic nikomu niepotrzebnymi szczegółami, lub tyradami o mętnych i stronniczych źródłach, z jakich korzysta oponent, o nienawiści jego do religji, o kompromitacji jego, i. t. p. Nie chcę odpłacać przeciwnikowi tą samą monetą i pozostawiam bezstronnym czytelnikom sąd o tem, kto z nas dwóch się skompromitował. Jestem przekonany, że, jeżeli po stronie którego z nas jest kompromitacja, to chyba nie po mojej stronie.

N — n.

Z całej Polski.

BOJKOT WYROBÓW NIEMIECKICH. Od czasu pamiętnej sprawy wrzesińskiej, bracia nasi w starej ojczyźnie walcząc z odwiecznymi wrogami polskości—niemcami, postanowili bojkotować wszelkimi siłami wyroby niemieckie, które w olbrzymiej ilości rozchodziły się tak w Królestwie jak i w Galicji, zasilając przemysłowców niemieckich polskimi pieniędzmi. Sprawa ta pomału zapomniana, została rok temu znów podniesioną pod wrażeniem świeżo zapadłej uchwały rządu niemieckiego o wywłaszczeniu polaków w Księztwie Poznańskim. Pod wrażeniem świeżo doznanej krzywdy, energicznie wzięto się do przeprowadzenia ścisłego bojkotu niemczyzny. Prasa przepełniona była artykułami nawołującymi i zachęcającymi do przeprowadzenia wspomnianej akcji. Urządzano wiece, manifestacje i demonstracje anti-niemieckie w Królestwie i Galicji, zdawało się że wzmagająca się fala ruchu bojkotowego ogarnie wszystkie dzielnice dawnej Polski i że przemysł niemiecki u nas poniesie dotkliwą klęskę. Minął rok, a po zestawieniu rezultatów całorocznej akcji bojkotowej. skutki okazały się stosunkowo do zapowiadających się, bardzo i bardzo nieznaczne. Z powodu szumnie wygłaszanych haseł bojkotowych, ucisk braci naszych w Poznańskim wzmógł się, a straty poniesione przez przemysł niemiecki z przyczyn bojkotu są bardzo małe. Czyżby więc cała, tak energicznie przedsiębrana w początkach akcja, była tylko słomianym ogniem? Niech mówią za nas rezultaty bojkotu za ubiegły rok.

W ostatnich czasach jednakże z Galicji zaczęły dochodzić nas wieści pocieszające, o wzmagającym się ruchu bojkotowym; prasa w szeregu artykułów, podkreślając dotychczasowe słabe wyniki bojkotu, nawołuje do energiczniejszej działalności w tym kierunku, zaznaczając całą skuteczność tej akcji ściśle przeprowadzonej. Jako przykład prasa polska w Galicji podaje rezultaty bojkotu towarów austrjackich w Turcji, nadmieniając iż silna militarnie Austrja, poczyniła słabej Turcji na skutek bojkotu tak znaczne ustępstwa, których żadna inną drogą nie zrobiłaby.

LUDNOŚĆ GALICJI. W całej Galicji w roku 1900 znajdowało się 7.315.939 mieszkańców na 78.496 kilometrów kwadratowych, czyli na każdy kilometr kwadratowy przypada 93 osoby. Ponieważ w ciągu ostatnich 10 lat przybyło 708.000, więc obecnie w Galicji znajduje się 8.100.000. ludności.

Co do narodowości, to polaków znajduje się w Galicji 3.989.000 czyli 54 proc., rusinów 3.074.000. czyli 42,2 proc., niemców 212.000 czyli 2,9 proc.

Przyrost ludności polskiej wynosił w ostatnim dziesięcioleciu około pół miljona osób, a russkiej 238.800, Niemców zaś ubyło 15.800.

Co do wyznań, to rzymsko-katolików jest 3.352.000, czyli 45,8 procent, greko-katolików 3.104.000, czyli 42,4 proc.. żydów 811.000 czyli 11 proc.

Co do emigracji z Galicji, to posiadamy dane tylko co do emigracji do Północnej Ameryki. W roku 1903--4 wyemigrowało polaków 30. 243, rusinów—9,415 w r. 1904--5 —polaków 50.785, rusinów—14.250, żydów —17.352.

Z KRÓLESTWA. W Królestwie katolicyzm ciężkie chwile przechodzić zaczyna, Po utworzeniu sekty Marjawitów, która tyle wrzawy narobiła, obecnie szerzyć się zaczyna inna sekta t. zw. anabaptystów. Pisma europejskie podają następujące szczegóły o tej sekcie. W Księztwie Poznańskim, w Królestwie, a nawet w Galicji, kręcą się od pewnego czasu misjonarze anabaptyści. Rozrzucają oni książki i pisemka treści religijnej, jak „Słowo Żywota", „Przewodnik Chrześcijański", „Drogowskaz" i t. p. Prócz nauk i zebrań w prywatnych domach, urządzają ci misjonarze szkółki dla dzieci.

Główne twierdzenia tej sekty są następujące: Kościoły są niepotrzebne, albowiem każdy człowiek jest kościołem Pana Boga, księża katoliccy źle uczą wiary, bo tylko pismo święte jest objawieniem Bożym, każdy powinien czytać Biblję, a Duch święty każdemu da zrozumienie. Duch święty tym więcej daje człowiekowi objawień wewnętrznych, im więcej oddaje się on religijnemu życiu. To objawienie uznają oni za jedyne źródło poznania i zrozumienia, Jak donoszą pisma, nauka anabaptystów rozszerza się w Polsce coraz bardziej.

CHEŁMSZCZYZNA. Projekt wyłączenia Chełmszczyzny z Królestwa, o którym już pisaliśmy w „Polaku", obecnie poddany jest dyskusji w Dumie państwowej. Prawosławne bractwo chełmskie poleciło bractwom parafialnym aby na wypadek odrzucenia przez Dumę wspomnianego projektu, wysłały protest zbiorowy, iż nie chcą nadal pozostawać w Polsce i proszą o rozstrzygnięcie tej sprawy przez władzę najwyższą.

Tydzień polityczny

Wielką sensację w całym świecie zrobiły artykuły jednego ze znanych lekarzy niemieckich w angielskich pismach. Badając różne wystąpienia Wilhelma, doszedł on do wniosku, że cesarz jest beznadziejnym i postępowym warjatem. Oddawna już rozmaite wystąpienia Wilhelma wprawiały w zdumienie cały świat. W ostatnich czasach coraz częściej prasa notowała dziwaczne postępki Wilhelma, wzbudzały one zwykle wesołość w całym świecie, choć nieraz dziwactwa ukoronowanego oryginała drżeniem przejmowały, gdyż zdolne one były zakłócić pokój europejski.

Autor kończy swój artykuł temi słowami:

Czas już nakoniec nadszedł, aby narody zapytały same siebie: co jest tajemnicą postępków tego człowieka? I powinny znaleźć odpowiedź, którą dobrze rozumieją dyplomaci i obszerne koła niemieckie.

Cesarz Wilhelm przedstawia nam nader typowy obraz pewnego gatunku choroby umysłowej. Cierpi on na bardzo niebezpieczne zapalenie środkowego ucha, które złe skutki wywiera na jego umysł. Dr. Passow, jedna z największych powag w podobnych chorobach, został wezwany z Heidelberga, ażeby osiedlił się w Berlinie, gdyż choroba Wilhelma wymaga ciągłej jego obecności. Wilhelm skarży się że jest osamotnionym pomiędzy 60.000 000 niemców. I tak jest w rzeczywistości — człowiek, który jest postępowym warjatem, zawsze będzie osamotnionym.

Obecnie polityka Niemiec zdaje się potwierdzać po części orzeczenie wspomnianego lekarza. Ciągłe międzynarodowe intrygi, jakie Wilhelm prowadzi na własną rękę, nie licząc się ani z opinją, ani z interesami własnego narodu, ciągłe zatargi z innymi mocarstwami, zatargi z których każdy przynosi coraz nową klęskę i kompromitację dyplomacji niemieckiej, chorobliwe potrząsanie szabelką wobec Europy, wszystko zdaje się świadczyć o tym, że rządy Niemiec znajdują się w rękach niezupełnie normalnego człowieka. Obecnie chwila, kiedy stosunki między państwami są ogromnie naprężone, kiedy lada fałszywy krok którego z mocarstw może sprowadzić ogólnie światową katastrofę, oczy całego świata z obawą zwracają się w stronę Niemiec, zkąd każdej chwili oczekiwać można jakiegoś zupełnie nieprzewidzianego wystąpienia.

— —

W sprawach Bałkańskich dotychczas jeszcze nic stanowczego orzec nie można. Wprawdzie w tej sprawie ministrowie spraw zagranicznych w Austrji, Rosji i Włoszech wygłosili długie mowy, wprawdzie tych mów cała Europa z naprężeniem oczekiwała, lecz nie wiele z nich można wyciągnąć wniosków. W parlamentarnych mowach ministrów rzadko kiedy rządy wypowiadają szczerze i otwarcie swoje zamiary. Bardzo często w przeddzień ogłoszenia wojny państwa wszelkimi sposobami starają się dowieść swoich pokojowych zamiarów. Tak naprzykład było w przeddzień wojny rosyjsko-japońskiej. Ma takie postępowanie na celu z jednej strony uśpić uwagę przeciwnika, z drugiej zaś uspokoić wzburzoną opinję publiczną. To też nie trzeba zbytnio się łudzić co do wartości mów ministrów, Przeciwnie, zwykle im bardziej pokojową mowę wypowiada minister jakiego państwa, tym podejrzliwiej należy traktować jego oświadczenia. Szczególnie podejrzaną jest mowa rosyjskiego ministra. Stara się on w niej upewnić świat cały, że polityka rosyjska zmierza do załatwienia spraw Bałkańskich drogą pokojową. Podobne oświadczenia złożyli ministrowie i innych państw, Austrja probuje nawet nawiązać układy z Turcją, lecz jednocześnie wszystkie zainteresowane państwa na gwałt się zbroją i nie szczędzą kosztów na wydatki wojenne.

Zbliża się wiosna i gdy zaczną topnieć śniegi, gdy łatwiejszą się stanie translokacja wojsk, zapewne mocarstwa przemówią innym niż obecnie głosem.

Nadzieje na konferencję mocarstw Europejskich, która złagodzić mogłaby drogą pokojową sprawy Bałkańskie, staje się coraz bardziej płonną. Austro-Węgry zgadzają się na konferencję, jedynie pod warunkiem, że sprawa aneksji Bośni i Hercegowiny nie będzie na niej rozpatrywaną.

Angielskie pisma donoszą, że wobec takiego stanowiska Austrji, jest rzeczą niemożliwą, aby konferencja wogóle się zebrała. Żadne szanujące się mocarstwo, nie zgodzi się na to, aby główna sprawa nie miała być na konferencji poruszoną.

Kronika zagraniczna

ROSJA.

Autonomja Bośni. Donoszą, że Rosja domaga się dla Bośni i Hercegowiny autonomji takiej, jaką posiada Galicja; jeżeli Austro-Węgry zgodzą się na to, to Rosja odstąpi od swego oporu przeciw aneksji.

Austro-Węgry—jak zapewnia korespondent —nie mają nic przeciw autonomji, nie chcą jednak, aby to żądanie było im narzucone z zewnątrz, lecz pragną załatwić tę sprawę z własnej inicjatywy.

AUSTRO-WĘGRY.

Donoszą że z Bilek nadeszła do Białogrodu wiadomość, jakoby wśród wojsk wybuchła panika, ponieważ obiega pogłoska, że Czarnogórcy zatruli wszystkie studnie nad granicą. Władze wojskowe natychmiast wysłały próby wody, celem zbadania chemicznego. Wszystkie studnie obsadzono wojskiem.

Donoszą, jakoby austryjackie ministerjum spraw zewnętrznych, zniecierpliwione nieustającymi napaściami, zamierzyło rozesłać mocarstwom, które podpisały traktat berliński, a następnie podać do wiadomości publicznej wszystkie dokumenty, tyczące się rokowań między gabinetem austryjackim a Rosją, w ciągu ostatnich trzech miesięcy. Jest to krok, nie przyjęty dotychczas w stosunkach dyplomatycznych, świadczący niewątpliwie o napięciu stosunków między Rosją a Austrją. Zwiększyło się ono zwłaszcza po ostatniej nocie rosyjskiej.

Ostatnie przemówienie ministra Izwolskiego w Izbie państwowej stosunków tych też nie załagodziło, bo choć na życzenie austryjackiego ministerjum spraw zagranicznych prasa wiedeńska przyjmuje mowę Izwolskiego dość przychylnie, w rzeczywistości jednak zawarty w mowie ustęp o związku bałkańskim wywołał w Wiedniu wielkie niezadowolenie.

TURCJA.

Zamach na Abdul-Hamida. Nadeszła niedawno z Konstantynopola wiadomość o zagadkowym włamaniu się dwóch ludzi do sypialni następcy tronu, ks. Reszida, które mimo uspokajających zapewnień policji, tłumaczono sobie ogólnie zamiarem zamordowania następcy tronu. Obecnie „Jeni Gazetta" donosi, że istniał zamiar zamordowania sułtana Abdul-Hamida przy sposobności uroczystego otwarcia parlamentu. Według wiadomości, zebranych przez organ turecki, sułtan otrzymał zawiadomienie, że przybyło do Konstantynopola 60 anarchistów amerykańskich z zamiarem wykonania zamachu. Sułtan doręczył to doniesienie wielkiemu wezyrowi.

Ponieważ w rzeczywistości zamachu nie popełniono, pomimo, że podczas uroczystego pochodu do gmachu parlamentarnego sposobności nie brakło, przypuszczają, że spóźnionemu ostrzeżeniu brak rzeczywistej podstawy i podejrzewaja o autorstwo alarmującego doniesienia dwóch pułkowników, dotychczasowych adjutantów sułtana, których wykreślono niedawno z listy adjutantów. Minister policji oświadcza, że nie wie nic o przybyciu anarchistów amerykańskich i nie przeprowadzono żadnych aresztowań.

— Turcy zaczynają bojkotować obecnie już i towary niemieckie, jeżeli handlujący nimi nie chcą przyłączyć się do syndykatu bojkotującego towary austryjackie

Z tego powodu ambasador niemiecki w Konstantynopolu złożył protest u Porty.

---

rą to cenę, zrazu podsadzany, potem sam, pierwszego lepszego źrebca za grzywę chwytał, dosiadał i oklep po pastwisku uganiał. Co go uczyniło do konia tak śmiałym i taką w nim rozwinęło siłę, że nawet do »Rokity« śmiało szedł i na grzbiet mu skakał, choć ten koń był z narowów znany i dla dobrego nawet jeźdźca niebardzo bezpieczny.

Oczywiście, że te imprezy trzymane były w zupełnej tajemnicy: młodszy tylko Niemczak, który starszego na krok nie odstępował, przypuszczony był do nich na widza. Ale ten umiał sekret utrzymać i kawalerskim honorem, równie jak starszy się rządził. Ogromnie się te chłopczyki kochały!

Zdarzało się też, że sami we dwóch urządzali sobie na własną rękę »Instrukcję«, przyczem starszy dziwnie czupurnie naśladował komendę starego pana, a młodszy ruchy domowych chłopców w lot chwytał. Zwłaszcza w atakach na bagnety pędrak ten celował. Kiedy się na nożynach rozstawił, bokiem nieco zwrócił, kij ujął i, obganiając się to na lewo, to na prawo, w cel godził, czy w psią budę, czy w krzak jałowcu, czy w grochowe tyczki, reprezentujące nieprzyjacielską potencję — tak mu to wszystko składnie szło, jakby się w szermierstwie owem od pieluch był ćwiczył.

Patrzył dziad na to nieufnie, niechętnie umyślnie w stronę odwracając głowę.

— Ależ to istny żuaw, ten chłopak! — wykrzykiwał gospodarz z podziwem.

— Ot, szwabskie miałpiarstwo i tyle! Czy to składność żołnierza robi? To dusza go robi, mości dobrodzieju, dusza! . . . .

Raz tylko, kiedy po walnej wygranej Niemczaki na kiju uwiązali chustkę i, z tryumfem mimo ganku idąc, wznieśli okrzyk zwycięstwa, jakiego dziad świeżo domowych chłopców wyuczył, stary pan otworzył usta, brwi, podniósł, przychylił głowę, słuchał, a potem zcicha:

— A kto ich wie? A może!...

Po dawnemu ich wszakże zdaleka od »Instrukcji« trzymał.

Jakoś gospodarzowi to markotno było. Więc kiedy wypadł objazd dalszego folwarku, a konia mu przed ganek, po takiej właśnie »Instrukcji« podano, spojrzał na starszego z chłopców i, kładąc nogę w strzemię, krzyknął:

— Niemczak? Chcesz się konno przejechać?

Skoczył chłopak jak iskra, gospodarz go przed siebie wziął, cmoknął, a młody, rwisty koń w szczupakach z miejsca pomknął.

— Uważaj! — krzyknął stary pan z ganku — bo cię ten warjat z kulbaki wysadzi.

— Oho! Nie dam się! — odkrzyknął jeździec, ale głos jego już do ganku echem tylko doleciał, tak koń rwał drogę przed sobą. Folgował mu pan, bo lubił to ogniste zwierzę. Po żyłach mu taka jazda szła, jak mówił, więc choć żona truchlała, ile razy na Rokitę siadał, nie byłby go oddał za nic, ani się wyrzekł swoich na nim harców.

Jeszcze wszakże do folwarku było drogi kęs, kiedy osadził konia i, przyłożywszy rękę do oczu, pod słońce patrzył. Ale im dłużej patrzył, tem głębsza zmarszczka znaczyła mu czoło. Za ugorem, który tuż przy drodze chłop orał, widać było kupę ludzi i wozy ze zbożem. Jak się to jednak często przy złem rozporządzeniu robotnikiem zdarza, w polu ludzie stali, czekając na wozy, a u stodoł znów wozy stały, za mało rąk mając do składania z nich użątku.

Na przełaj zrazu jeździec chciał, ale mu konia na świeży podór żal było; ku drodze spojrzał, ale mu się jej więcej zdało, niżeli cierpliwości czuł w sobie. Krzyknął tedy na chłopa, uzdę mu i dziecko potrzymać kazał, a sam, szerokim i zirytowanym krokiem, ku żniwiarzom się puścił.

Był już przy nich, już słychać było jego grzmiącą komendę, kiedy woły splątały się w pługu i, przewróciwszy do góry krojem, ciągnęły po skibach. Krzyknął chłop raz, krzyknął drugi, a widząc, że nie pomaga, zaklął siarczyście, chłopcu uzdeczkę rzucił i do wołów skoczył.

Malcowi zaiskrzyły się oczy, rozdęły drobne nozdrza, ścisnął uzdeczkę w garści, konia piętą w bok i tyleś go widział!

— Paniczu! paniczu! — wrzeszczy chłop, mocując się na nawrocie z wołami. Gdzie! Ani mowy, żeby go usłyszał.

Obejrzał się na to wołanie gospodarz — struchlał.

— Niemczak! — zakrzyknie. — Chryste Panie! Cudze dziecko!

Rzucił się do woza.

— Wyprzęgać! Gonić!

Ręce mu się trzęsą, scyzorykiem rzemienie rozrzyna, ale nim na konia oklep skoczył, już tylko kłąb pyłu polatywał drogą.

Stał pan stary w ganku i, wypaliwszy fajkę, wytrząsał ją właśnie, kiedy posłyszał jakiś szalony tętent. Jeszcze nie zdążył pomiarkować gdzie i z jakiej strony, już Rokita, jak wicher, na dziedziniec wleciał, a na Rokicie, trochę blady, ale tęgo się trzymający w siodle — Niemczak. Jasna perkalowa bluzka w powietrzu powiewa. oczęta rozpromienione, uśmiech szczęścia w twarzy; koło u kwietnika zatoczył i prosto przed ganek.

Wypuścił dziad cybuch, otwarł ramiona, zaniemiał. A już też gospodarz nadlatywał w ogniach cały i za uzdeczkę chwytał, słowa na razie przemówić niezdolny.

Porwał z siodła Niemczaka pan stary i długo na piersi go tulił, śmiejąc się i płacząc razem.

— Nasza krew! Nasza... Nasz ród stary! poczciwy! szlachecki! — wołał, całując chłopca po włosach, po twarzy, a kiedy go wreszcie puścił i oczy otarł:

— A co, Stefanie! — rzekł. Choćbyśmy go Stachem nazwali? . . . .
. . . .

Kiedy twardą jesienią przybył ojciec. żeby chłopców zabrać i za opiekę nad nimi dziękować, nie poznał ich prawie, tak zakwitli zdrowiem i świeżością.

Zagadał do starszego, a ów z miejsca, choć z akcentem jeszcze:

— Ty do mnie, ojciec po-polsku mów, bo ja ciebie nie rozumiem!

KONIEC.

Konstantynopol. Ruch bojkotowy w Vallo nie zaostrzył się. Władze lokalne oświadczają, że nie są w stanie nic uczynić wobec usposobienia ludności. Niektórzy domagają się niedopuszczenia nawet do wyładowania przesyłek pocztowych. Z tego powodu obawiają się starć. Ambasador austro-węgierski wniósł protest u Porty.

KRONIKA.

ARGENTYŃSKIE PRODUKTY. Według obliczeń statystycznych podanych przez niektóre pisma brazylijskie, przywóz produktów argentyńskich do Brazylji przedstawia się mniej więcej następująco: Za pierwszy kwartał 1908 r. przywieziono z Argentyny: 589.061 skór bydlęcych, 40.000 pak łoju, 650.000 baranów i 242.466 tonelad kości. Za styczeń i marzec ubiegłego roku przywieziono: 7,137.802 kilogramy koniczyny, 154.920 kilogr. siemienia kanarkowego, 308.865 kilogr. batatów, 29,705.176 kilogr. pszenicy, 97.800 kilogr. otrębów, fiżonu 98.022 kilogramy, kukurydzy 2,410.593 kilogr. 31.585 kilogr. wełny owczej, 20.500 kilogr. wikliny do robót koszykarskich i 1,169.200 kilogr. szarki (mięsa suszonego).

PORT W PARANAGUA. Rząd federalny ogłosił w dziennikach oficjalnych skład mianowanej przez siebie komisji robót portowych w Paranagua. W skład komisji powyższej wejdzie: 3 inżynierów, 5 asystentów, 1 rysownik i 2 sekretarzy. Resztę zaś potrzebnych urzędników i robotników ma mianować rząd parański.

Z COLOMBO. Dnia 22 b. m. w nocy w miejscowości zwanej villa Colombo w wendzie niejakiego Alpheu Puppi miało miejsce krwawe zajście ofiarą którego padło czterech ludzi.

We wspomnianej wendzie zgromadzili się jak podają niektórzy dla celów agitacyjnych z powodu zbliżających się wyborów, pułkownik João Bittencourt, Pedro Lazzona, Domingós Nodari, Julio Lisboa, Fernando Nogueira, Joaquim Adão, prefekt municypjum i inni, między którymi wszczęła się sprzeczka; nadmieniamy przy tem że między zgromadzonymi byli przeciwnicy polityczni, następstwa wszczętej kłótni były takie że Nodari ze sztyletem rzucił się na Fernanda Nogueirę i zadał mu kilka ciosów, na pomoc napadniętemu poskoczyli Joaquim Adão i inni, wtedy Nodari wyjął rewolwer i dał do nich kilka strzałów które powaliły Joaquima Adão i Julio Lisboa. Nodari zaś wyskoczył z wendy i uciekł, lecz później znaleziono go w odległości kilometra od owej wendy, na drodze martwym, przy czem na ciele jego odkryto kilka ran od kul z karabinu systemu Winchestera. Świadkowie tego zajścia badani przez policję, mówią prawie każdy co innego, wszyscy zgadzają się tylko na jedno że powodem do całej tej krwawej awantury posłużył antagonizm partyjny.

POŻAR. Dnia 23 b. m. spalił się prawie doszczętnie tartak w miejscowości zwanej Capucu, własnośc p. Francisco Claudino Ferreira. Straty obliczane są przypuszczalnie na sto tysięcy milreisów. Tartak nie był zaasekurowany.

FAŁSZERZE. W ubiegłym tygodniu w São Paulo policja wykryła bandę fałszerzy monet, którzy na ten raz zajmywali się podrabianiem angielskich funtów szterlingów. Główni winowajcy zostali uwięzieni.

STREJK. Donoszą z Pernambuco, iż trwający od pewnego czasu strejk na linji kolejowej Western obecnie został przerwany i wszyscy robotnicy powrócili do rozpoczętej pracy.

KRWAWA KŁÓTNIA, Dnia 21 b. m. w miejscowości zwanej Areias w pobliżu willi Rio Branco o godz. 6 wieczorem niejaki Joaquim Barros zaczął kłótnię z niejakim Jose de Suoza, podczas kłótni pierwszy z nich wpadł w pasję i wyjąwszy z za pasa pistolet dał dwa strzały do swego przeciwnika, który ciężko raniony upadł na ziemię. Wiadomem jest, że Barros od dłuższego czasu czuł jakąś nienawiść do Suozy i czekał sposobnej chwili, aby wszcząć z nim kłótnię.

KRADZIEŻ. Dnia 24 b. m. w nocy skradziono z kasy kościelnej w Palmeirze 52 milrejsy. Sprawcą kradzieży okązał się 14 letni João da Silva zbiegły uczeń wojskowej szkoły marynarskiej w Paranagua.

NA GRANICY. Donoszą, iż na granicy Parany z Argentyną, jeden z żołnierzy z posterunku brazylijskiego zabił z przyczyn dotychczas niewyjaśnionych Argentyńczyka. Szczegółów więcej nie wiadomo.

„ŻYCIE“. Pod powyższem tytułem zaczęło wychodzić w Kurytybie czwarte pismo polskie pod redakcją p. Radosława Neymana.

TWO. SZKOŁY LUDOWEJ W BRAZYLII.

D. 24 b. m. w lokalu „Kółka Rolniczego“ na Bacachery, przy licznym udziale publiczności odbyło się rozegranie loteji na dochód Towarzystwa Szkoły Ludowej. Wygrane padły na N. N. 151, 40, 208 i 250.

Bransoletę złotą wygrała pani Konradowa Jeziorowska z kolonji Alfonso Penna, kozę — Jerzyk Klarner z Warszawy.

W dalszym ciągu nadesłano następujące składki:

Lista N 175. Zbierająca: p. Janina Warchałowska. Ofiarowali: p. p. ks. Józef Anusz 5$. Janina Klarner 1$. S. Krauze 3$. Jeniczówna 1 rb. Zygmunt Wrzeszcz 10 rb. Witold Podhorski, 1$ Stanisław Tedorowicz 5 rb. Włodzimierz Ułaszyn 3 rb. Józef Hulanicki 1 rb. Wacław Wrzeszcz 10 rb. Nasimowski 3 rb. Janek Markiewicz 4 rb. Bolesław Bydłowski 1 rb. Stefan Podhorski 50 kop. Klementyna Brzozowska 3 rb. Jan Markiewicz 1 rb. Aleksander Bydłowski 4 rb. Z. Bobińska 3 rb. Hala Bobińska 25 kop. Wiktor Jenicz 25 rb. Stefan Jenicz 1 rb. Razem z listy N 175 po wymianie według kursu na brazylijską monetę zebr. 135$000.

Lista N 60. Zbierająca p. Emilja Porębska. Ofiarowali: p. p. Napoleon Hołowczyc 50 kop. Emilja Szemeszowa 50 kop. Ludwika Porębska 50 kop. Emilja Porębska 35kop. E. Porębska 15kop. Razem według kursu 3$. 300 rs.

Wszystkim ofiarodawcom i zbierajacym, zasyłamy serdeczne podziękowanie.

ZARZĄD.

T-WO OŚWIATY LUDOWEJ W PONTA GROSSIE. Dnia 10 stycznia b. r. odbyło się w lokalu T-wa walne roczne zebranie na którym wybrano na rok bieżący nowy zarząd, w skład którego weszli następujący członkowie:

Prezes p. Antoni Szwedowski, wiceprezes p. Władysław Olkuszewski, sekretarz p. Jan Łopuszko-Łopuszyński, wice-sekretarz p. Witold Wierzbowski, skarbnik p, Jan Błędzki (ponownie), bibliotekarz p. Witold Roguski.

Do komisji rewizyjnej na rok 1909 weszli: p. Jan Żubiński, p. Bolesław Nowicki, p. Ignacy Szańkowski.

Przy niniejszym numerze „Polaka“ zamiast dodatku powieściowego załączamy 1 i 2 arkusze, bardzo zajmującej powieści historycznej z czasów popowstaniowych I. Kraszewskiego pod tytułem ***„Emisarjusz“***

REDAKCJA.

LISTY do odebrania w redakcji mają p.p.: Feliks Brzostek, W-ni Malanowscy, Agnieszka Szkopek, Tadeusz Grzybczyk, Jan Lipiński, Marjanna Chrząszczewska, Jan Strzelbicki, Romuald Krzesimowski, Feliks Siulcz, Jan Furmaniak, Jan Wodek, Antoni Kozłowski, Michał Myczak, Wacław Piotrowski, Stefan Traczyński, Jan Mitczuk, Marja Mytczyn, Julja Dyka, Arkady Sikora, Wacław Braun, L. J. Hoffman, Jędrzej Sopocki, Juljusz Sikorski, Józef Holoubek, Marjan Sapalski i p. Rycembel emigrant z lubelskiego, którego upraszamy o zgłoszenie się osobiste do naszej redakcji.

OSTATNIE WIADOMOŚCI.

TURCJA.

Z Konstantynopola donoszą, iż stanowisko sułtana Abdul-Hamida jest poważnie zachwiane. Należy oczekiwać w krótkim czasie rozstrzygających wypadków.

W Smyrnie miało miejsce trzęsienie ziemi, przy czem zginęło 8 osób kilkunastu zostało ciężko poranionych i pewna ilość domów została zrujnowaną.

HISZPANJA.

Z niektórych miejsc w Hiszpanji również donoszą o trzęsieniu ziemi, które jednakże przeszło bez poważniejszych następstw.

ROSJA.

W Petersburgu grasuje obecnie ze zdwojoną siłą cholera, liczba ofiar takowej bardzo znaczna. Z guberni środkowych również dochodzą alarmujące wieści o rozszerzającej się tam epidemji.

BAŁKANY.

Sytuacja w Albanii przedstawia się według doniesień bardzo groźnie, rozdrażnienie umysłów wśród mieszkańców przeciwko Austrji panuje ogromne. Urządzane są tłumne demonstracje rządające wojny z Austrją.

Równierz z Bułgarji i Turcji nadchodzą wieści alarmujące, wojska obu tych państw ściągane są w znacznej ilości na granicy, w głębi kraju odbywają się zbrojenia i moabilizacje poszczególnych korpusów.

Donoszą także, iż jakoby rząd rosyjski przyrzekł Serbji na wypadek wojny z Austrją pomoc w postaci jednego korpusu swej armii.

Nadmieniamy, że z ogólnie otrzymywanych wiadomości z Bałkanów jest dużo prawdopodobnie przesady, w każdym razie jednakże stosunki są do tego stopnia naprężone, że lada chwila można się spodziewać wybuchu wojny.

Od administracji.

PRENUMERATĘ ZA CAŁY ROK 1909 nadesłali p. p. Mateusz Żulkowski, Franciszek Petruj, Roman Miedziński, Edmund Saporski, Walenty Jasnoch, Marcin Olejnik, Roman Sieczka, Józef Flizikowski Antoni Kozłowski, Tomasz Rakowicz, Andrzej Przybysz, Two Świętego Izydora, Jan Myszkowicz. Tomasz Kozłowski, Antoni Andreasy. Feliks Studenny, Jan Siekierski, Lorenço Szpitzner, Two Oświaty Ludowej, Maksymiljan Brejnak Adam Zdrojewski, Józef Kierski, Jan Sydor, Andrzej Partyka, Konstanty Czebruk, Jan Miłaknis, Józef Debesajtys, Wojciech Wyrowski, Władysław Olkuszewski. Michał Martyniak, Jakób Sobański, Andrzej Swięch, Michał Śekuła, Juljan Gauza, Hieronim Hozelski, Jan Wroński, Luiz Mencik, Karol Leśniewski. Szczepan Cielusiński, Józef Rogowski, Wincenty Przybyłowicz, Marcin Pikulski, Stanisław Adamczyk, Wiktor Remer, Franciszek Jaworski, Sklep spółkowy „Unia“, Wojciech Mika, Juljan Buczek, Jan Szumnieński, Janina Kraków, Józef Matusiak, Aleksander Patzer, Maciej Czeluśniak, Mateusz Mól, Andrzej Jantas, Mikołaj Zubacz, Kasper Cytryński, Władysław Olszewski, Michał Nowak, Adam Cichocki, Polikarp Chwast, Tomasz Stawiarz. Antoni Pawlak, Kazimierz Figiel, Ludwik Byczyński, Józef Danielski, Tomasz Kaczmarek, ks. Stanisław Gołąbowski, Michał Gąsiorowski. Feliks Sobczyk, Feliks Rembiński, Stanisław Gajewski, Two Tadeusza Kościuszki, Aleksander Serowik, Franciszek Rosłoński.

PRENUMERATĘ ZA I PÓŁROCZE 1909 nadesłali p. p. Mieczysław Nieć, Stanisław Adreańczyk, Stefan Chruszczak, Władysław Piotrowski, Franciszek Bielik, Ksawery Bojanowski, Wawrzyniec Kampa, Włodzimierz Kuhn, Michał Nowak, Józef Niczewski, Władysław Sapalski, Józef Szczypkowski.

PRENUMERATĘ ZA I KWARTAŁ 1909 r. nadesłali p. p. Walenty Sobolewski, Antoni Różański, Antonina Skomska.

PRENUMERATĘ ZA II PÓŁROCZE 1909 r. nadesłał p. Leon Klejnowski.

PRENUMERATĘ ZA CAŁY ROK 1908 nadesłali p. p. Józef Preis, Antoni Woja, Juljan Rutkowski, Stanisław Kwiatkowski, Franciszek Zieliński, Józef Pawlak, Walenty Swinka, Adam Pałkowski, Józef Pałkowski, Jan Ochociński, Eljasz Stelmaszczuk, Aleksander Gliszczyński, Franciszek Grabski, Antoni Różański, Andrzej Wilczuk, Władysław Olkuszewski, Jan Kuboski, Mateusz Gmurski, Kazimierz Witkowski, M. Sawicki, Wojciech Wiśniewski, Józef Matusiak, Mikołaj Zubacz, Władysław Sapalski, Jan Kowalski, Szymon Skolimowski, Józef Holoubek, Antoni Bakalarski, Mateusz Żulkowski, Andrzej Bugalski, Łukasz Zębik, Wojciech Szymański, Franciszek Banicki, Jakób Michalak.

PRENUMERATĘ ZA II PÓŁR. 1908 r. nadesł. p. p. Józef Flizikowski, Bolesław Murawski, Piotr Kruk, Jan Myszkowicz, Piotr Troczyński, Franciszek Ślewiński, Bolesław Kłosowski, Włodzimierz Kuhn, Antoni Zboiński Jan Kidrycki, Józef Szczypkowski, Walenty Stawicki, Tomasz Kłosieński, Józef Rozpędowski.

PRENUMERATĘ ZA VI KWART. 1908 r. nadesłał p. Jan Grala.

PRENUMERATĘ ZA II KWARTAŁ 1908 r nadesłali p. p. Jan Myszkowicz, Jan Kidrycki.

PRENUMERATĘ ZA CAŁY ROK 1907 nadesłali p. p. Józef Pawlak. Wojciech Wiśniewski, Jan Kowalski, Wojciech Szymański.

PRENUMERATĘ ZA III KWARTAŁ 1907 r. nadesłał p. Różański.

PRENUMERATĘ ZA IV KWARTAŁ 1907 r. nadesłał p. Władysław. Sapalski.

Odpowiedzi od Redakcji.

Two „Tadeusza Kościuszki“ w Corpus-Argentyna. — Żądane przedmioty wysłaliśmy. „Marsz Twa Kościuszki“ z powodu braku miejsca wydrukować nie możemy. Koszta zaś wydrukowania takowego w 100 osobnych egzemplarzach wyniosą 15 pesów.

P. Stan. Gajewskiemu.—Pieniądze otrzymaliśmy. Żądane książki wysełamy, „Bez dogmatu“ kosztuje 7$. Zamiast kalendarza wysyłamy panu „Z krwawych Dni“ 1 egz. Zaginiony numer 45 „Polaka“ wysyłamy wszystkim prenumeratorom w S. Feliciano.

P. Franciszkowi Banickiemu.—Biblję wysyłamy, która w sprzedarzy kosztuje 3$. 500. Należy się nam jeszcze 1$.500.

P. Józefowi Rozpędowskiemu.—Otrzymaliśmy za pośrednictwem biura F. Missler na rachunek pański 10 milrejsów z których 5$. wpisaliśmy na rachunek prenumeraty "Polaka", 4 milrejsy wliczyliśmy za żądane przez pana książki. Za Przesyłkę książek doliczamy 800 rs. pozostaje 200 rs. do rozporządzenia pańskiego

P. p. Pawelskim i H. Skawińskiemu.—Na skutek odezwy panów zawiadamiamy iż po otwarciu czytelni polskiej w Rio Claro „Polaka“ pod adresem takowej, wysyłać bezpłatnie będziemy.

EMISARYUSZ.

B. BOLESŁAWITA.

EMISARYUSZ

Wspomnienie z roku 1838.

All is true.

WARSZAWA
DRUKARNIA ED. NICZ i S-ka, NOWY-ŚWIAT 70.
1907.

Jednym z najsmutniejszych widoków na świecie, jest małe a brudne miasteczko—dodawszy jeszcze dzień słotny i niebo pochmurne, a naostatek okoliczność, nie przyczyniającą się do upiększenia— moskiewską administracyę, która z najuboższej i i najbrzydszej mieściny, jak pracowita pszczółka umie tylko dla siebie wyciągać soki pożywne... a wynędzniać nieszczęśliwą ofiarę — będziemy mieli obraz brzydoty idealnej.

Niestety—jesteśmy zmuszeni wprowadzić właśnie czytelnika do takiej mieściny, w pochmurny wieczór jesienny, bo pierwsza scena dramatu w niej się odgrywa. Do niewysłowionego smutku, jaki przedstawiała ta ruina, przyczyniała się jej świetna niegdyś przeszłość jeszcze wśród wycieńczenia, wśród nędzy i brudów — widoczna. Po nad resztkami lichych domów drewnianych i chatek na pół w ziemię zapadłych, na wzgórzu, na tle niebios mglistem, wznosiły się wspaniałe niegdyś mury zamku odwiecznego, sterczące dlatego tylko tak długo, że ich rozbić nie miano siły—wspaniała wieża katedralnego kościoła, i opalone ściany kilkunastu świątyń i opustoszonych klasztorów. Z tej dawnej świetności nie pozostało nic, oprócz walących się murów... kopuł, odartych z dachów wieżyc i czarnych kominów...

Mówiono, że cesarz Mikołaj I przed laty dziesiątkiem, gdy jeszcze miasteczko było całe i żywe... przejeżdżając przez nie, odezwał się: „Nie mogę ścierpieć tej mieściny“!

W parę lat z niewiadomych przyczyn powstał pożar gwałtowny i zniszczył znaczną część najpiękniejszych gmachów... a to, co ocalało od pierwszego ognia, wkrótce spłonęło w powtórnych płomieniach, nanieconych ręką niewidzialną. Miasto poszło w zgliszcza i perzynę, paliło się co roku w porze, gdy ogień mógł je najłatwiej ująć, i rozpadło się w te gruzy. Ze zniszczonych kilku klasztorów porobiono magazyny wojskowe, inne porozbierano, w innych połatawszy je, umieszczono więźniów, potworzono turmy, parę mniejszych kościołków sprzedano żydom i przeistoczono na kamieniczki, inne powoli jadła słota i obalały wichry. Z dawnej wielkości pozostały olbrzymie zgliszcza. W kilka lat miasto, niegdyś stolica księstwa, ziemi, siedlisko głównych sądów, gród biskupi — przedstawiało obraz najsmutniejszych w świecie rozwalin... Nie było uliczki, którejby obok drewnianych, nędznych klatek nowych, nie osmucała ogromna ruina... stosy gruzów, sterczące kominy, kupy węgla i rumowisk. Życie dawne, przestraszone uciekło z tych miejsc, skazanych na powolne konanie. Z cegieł porozbieranych świątyń, wznosiły się cerkwie nowe, turmy i kaznaczejstwa... zwykłe moskiewskiej cywilizacyi godła... równie poczwarnie wyglądające jak ona.

Wypędzono biskupa, rozegnano księży, powynoszono sądy, a reszcie starców ledwie dozwolono kąta, w którymby umrzeć mogli, pod strażą kara-

binów moskiewskich. Miasteczko przedstawiało niby cmentarz, pełen pamiątek, na którego grobowiskach policmajster i sprawnik ssali resztkę pozostałej ludności, którą nałóg i nędza przykuwały do miejsca.

Proszęż sobie wystawić ten gród, niegdyś możny, dziś ledwie dyszący pod błogosławionymi rządy łupieżców—w pochmurny dzień a raczej wieczór jesienny, w deszcz i wicher, z uliczkami pełnemi błota, niby wymoszczonemi tarcicami i dylami, które przejazd utrudniały i tworzyły gdzieniegdzie rodzaj barykad wśród przepaści. W ulicach żywej duszy, gdzieniegdzie Żyd przesuwający się, okrywszy głowę podniesionemi na nią połami szarafana... wóz nędznemi szkapami ciągniony i grzęznący w rynku... wychudły pies lub odarty żebrak...

Na progu tych murowanych budek strażniczych, które mają niby strzedz porządku... widać było tylko przypartą do ściany halebardę budnika... on sam na barłogu odpoczywał gdzieś po wódce, pewien, że policmajster w taką szarugę nie wyjedzie na ulicę.

Wiatr wył w zaułkach i po wązkich, pustych szyjach między murami... obryzganymi błotem wysoko.

Gdzieniegdzie po nad dachy zajezdnych domostw, z komina wyrywało się trochę dymu, którym wiatr miótł po ziemi. Niewysłowiona tęsknota... nieopisane wyziewy błota, atmosfera gęsta i smrodliwa, opasywały nieszczęśliwą ruinę.

W jednej z uliczek szerszych nieco, w drewnianym domku, podniesionym podmurowaniem nad poziom grzęzawicy ulicznej, nad którego drzwiami przybitą była deska, z namalowanym energicznie orłem moskiewskim — w pierwszej izdebce siedział wcale nie ciekawy człowieczek. Poznać w nim było moskiewskiego czynownika, nietylko po mundurze, ale i po fizyonomii, którą kancelaryjną nazwać byłoby najwłaściwiej. Izbę tę — której środek zajmował stolik, zielonem suknem wyszarzanem okryty i po podłodze plamkami czarnemi atramentu obwiedziony, przystrajała litografia cesarza, dwa pomniejsze stoły z kałamarzami, i kilka krzeseł, z których jedno wyścielała mizernie wysiedziała poduszeczka. Oczywiście, zużytkował ją w tej chwili skazany na samotną medytacyę urzędnik, oparty na stole i spoglądający smętnie w zabrukane i od wieków nie myte okno. Nizkie czoło, czerwony nos, szerokie usta, wygolona twarz i brodawka około warg, odznaczały sekretarza policmajstra.

Nie był to bowiem kto inny nad samego se-

kretarza... Drzwi od kancelaryi, po za któremi słychać było dosyć głośną, przerywaną śmiechami rozmowę, łączyły to biuro puste z prywatnem mieszkaniem pułkownika Paramina, naówczas pełniącego obowiązki naczelnika grodu w miasteczku...

Zapomnieliśmy dodać, iż przede drzwiami domku stała jednokonna, straszliwie obłocona dorożka, skórą pokryta, której woźnica, odwrócony plecami do deszczu, drzemał, oczekując na swego pana.

Sekretarz policmajstra ziewał i przeklinał konieczność siedzenia w pustej kancelaryi—zaczynało powoli zmierzchać.

W tem zwolna i ostrożnie otwarły się drzwi, ukazała się głowa, i ocierając nogi w progu, wszedł kapiący deszczem Żydek. Był to faktor z domu zajezdnego Nysonowiczów, który jarmułką ukłonił się sekretarzowi i za suknią począł szukać papieru. Sekretarz przybrał minę i postawę groźną, urzędniczą, powagi pełną.

— Czego chcesz?...

— Proszę jasnego pana... paszport... Podróżny przejeżdża, to się melduje.

Sekretarz wziął naprzód, marszcząc brwi, papier i spojrzał na ręce żydkowi, który złotych dwa na stoliku po cichu położył... Czytał paszport z rodzajem wzgardy i wyrazem siły własnej.

Dwuzłotówka, którą już był schował do kieszeni w kamizelce, nie zdawała się wcale skutkować.

Raz i drugi paszport obrócił w ręku, szuka-

jąc niby na nim, czego nie znajdował, i kręcąc głową:

— Co to jest?—zawołał nareszcie, kładąc papier na stoliku — co to za maniera? hę? Podróżny, a jeszcze cudzoziemiec, z daleka, dyabli go tam wiedzą, osoba może podejrzana... przysyła sobie papier do podpisania, a nie jawi mi się osobiście? Cóż to ty, Icku, nie wiesz przepisów? hę? Czy to ja jeszcze sam mam iść do was, ażeby sprawdzić, że rysopis wierny, i spojrzeć w oczy jegomości temu? Cóż to nie wiesz, jakie czasy? hę? kiedy nam najsrożej przepisano zwracać, jak najbaczniejszą uwagę na każdego podróżującego a zwłaszcza cudzoziemca? Ale co to jest? ale to wy sobie ze mnie i z pułkownika żarty stroicie? hę? chcecie może pod sąd oddać? hę? Trzydzieści kopiejek należy się za pieczątkę... ot co! a podróżny niechaj się sam pofatyguje do kancelaryi.

Icek spojrzał na zabłocone nogi.

— Jaśnie sekretarzu — rzekł — to jest chory człowiek.

— A poco jeździ kiedy chory?

— Jemu zębów okrutnie bolą...

— Niech go boli co chce, on tu mi powinien być sam... Hę? niechno ja mu w oczy spojrzę... Tak prawo chce... a ja nie mogę wizować, nie widząc... Teraz taki czas... dyabeł go wie jakiej nacyi... paszport niezrozumiały.

— Nacyi? — odparł żydek—co ma być nacyi! Kiedy to jest zegarmistrz...

— Mnie wszystko jedno... czy on zegarmistrz, czy on graf, czy ktobykolwiek był, a dosyć, że on

przez uszanowanie władzy powinien się stawić do kancelaryi.

Icek ruszył ramionami i dobył jeszcze dwuzłotówkę, cofając się po dokonaniu w milczeniu tego śmiałego czynu, znowu do progu.

W milczeniu także sekretarz naprzód schował dwuzłotówkę do kieszeni, ale zaraz stuknął ręką o stół.

— Żebyś mi dał rubla! słyszysz? z tego nic nie będzie — człowiek cudzoziemski, zagraniczny człowiek... Zegarmistrz, albo ty wiesz czy prawdziwy zegarmistrz, czy udaje! Możesz ty wiedzieć? Znasz ty najsroższe przepisy policyjne? hę? Icek! Icek! nie igraj z władzą! nie próbuj cierpliwości mojej... Ostatnie słowo! idź precz, a przyślij tu tego człowieka.

— Ale on nie gada żadnego języka — zawołał Icek...—a no po niemiecku...

— Ja go wyegzaminuję... *der*, *die*, *das*—krzyknął sekretarz—daj mi go tu... inaczej nie będzie,.. Czy ty wiesz jakie to czasy!

— Co ja mam wiedzieć — rzekł żydek, ruszając ramionami.

Sekretarz podniósł rękę do góry.

— Czy ty wiesz jaka odpowiedzialność! Co to jest przepuścić cudzoziemca... zagranicznego cudzoziemca... nie skonfrontowawszy rysopisu?...

Stuknął o stół:

— Idź mi zaraz po niego.

Żyd się poskrobał, nie śmiał już mówić, ale błagająco kiwał głową.

— Ja się z tem znam, co wy faktory umiecie.

Cudzoziemiec, przypuszczam człowiek porządny, który zna dobrze, iż na świecie nic się darmo nie robi... daje rubla, albo dwa za paszport... a faktor przynosi mi nędzne dwie dwuzłotówki.

Żyd się w piersi uderzył.

— Niech się sam stawi—dodał sekretarz—idź natychmiast... precz...

Icek postał chwilę, zwrócił się niechętny stuknął drzwiami i zniknął.

Sekretarz uśmiechnął się do siebie... ujął paszport w ręce i począł mu się przypatrywać ze wszech strok... kiwał głową... potem zapiął mundur, wyciągnął nieco kołnierzyk, spojrzał w lusterko od much upstrzone, i przysunąwszy ogromną księgę przetrząsał ją niezmiernie pilnie, aby sobie nadać pozór zajętego pracą człowieka... Pióro założył za ucho.

Przysłuchiwał się czy kto nie idzie... ale napróżno. Słychać było tylko kapanie deszczu z dachów i poświstujący wiatr wieczorny.

Nareszcie chód dał się pochwycić w ganku, w sieni, drzwi zaskrzypiały i na progu zrzucając płaszcz ukazał się dość słusznego wzrostu mężczyzna.

Sekretarz zatopiony w księdze, z brwiami zmarszczonemi powoli podniósł głowę... Podróżny z podwiązaną twarzą skłonił mu się lekko i począł bełkotać po niemiecku. Icek patrzał to na niego, to na sekretarza, który zdawał się sprawdzać rysopis.

Twarzy podróżnego dobrze rozeznać nie było można, dwoje tylko oczów czarnych, młodych, ognistem wejrzeniem tryskało z pod czoła. Ubrany był porządnie... i miał coś w sobie, co sekretarza onieśmielała.

Ale nie darmo on był urzędnikiem policyjnym, mimo, że rysopis się zgadzał z paszportem, potrzeba się było podrożyć i spróbować przynajmniej coś wytargować z nieznajomego.

Sekretarz więc nic nie mówiąc popatrzywszy na paszport, wstał i majestatycznie z piórem w zębach wyszedł przez drzwi, wiodące do wnętrza domu.

Podróżny zdawał się na to wszystko spoglądać bardzo obojętnie. Icek podszepnął po niemiec-

ku: — Jemu trzeba jeszcze co dać, a nię, to będzie nudził.

Nieznajomy głową kiwnął.

Sekretarz tymczasem wszedł z paszportem do pokoju, w którym, ratując się przeciw spleenowi i nudom, sprawnik z policmajstrem grali w ekarte.

Butelka rumu i szklanki herbaty dotrzymywały im towarzystwa.

Spostrzegłszy sekretarza Paramin, który nie cierpiał, aby mu przerywano, podniósł głowę markotny i gniewny,

— Czego ty chcesz! Jak ty śmiesz...

Sekretarz za całą odpowiedź podsunął paszport.

— No, to podpisz go i idź do stu tysięcy dyabłów...

— Podpisz, nu tak — rzekł sekretarz — ale to zagraniczny cudzoziemiec.

— Co? kto? kto taki?

— Zegarmistrz...

— Pal go licho razem z tobą!

— A jeśli podejrzana jaka osoba?

— To twoja rzecz... wypytaj go...

— Mówi tylko po niemiecku.

— Puszczaj go... jak Niemiec, nie może być podejrzany... Czyj poddany?

— Pruski poddany.

— A jak ty śmiesz głupi wstrzymywać pruskiego poddanego? hę? Ty wiesz.., o głowo, ty głowo... z uszami długiemi... że król pruski krewny Najjaśniejszego Pana, że my z Prusakami w przyjaźni...

— Ale ja polityką się nie zajmuję...

— To idźże precz... i ruszaj pókiś cały.

Sekretarz, pokiwawszy głową, wyszedł bardzo powolnie.

— Czortże jego wie—rzekł w duchu—pruski poddany... zapewne, że to coś znaczy... a jakby mieli Prusacy się gniewać?...

Zdecydowany podpisać paszport, szedł, ale chętka wyzyskania zręczności nadawała mu minę zasępioną i groźną. Z tą miną ukazał się we drzwiach i kroczył ku stolikowi, na którym leżący rubel oczy jego uderzył. Argument ten poskutkował i sekretarz zajął się położeniem wizy, pieczęci policyjnej i własnego podpisu. Wszystko to zabrało kawałek czasu, bo urzędnik gwoli wygodzie jakiegoś tam podróżnego, chociażby i poddanego pruskiego, śpieszyć się nigdy nie powinien. Na ostatek paszport opatrzony został wyciśnioną pieczęcią i sekretarz oddał go bardzo dotąd cierpliwie oczekującemu nań jegomości z podwiązaną twarzą.

Mrok padał i podróżny już miał wychodzić, gdy w przyległym pokoju dały się słyszeć głosy. Pułkownik Paramin żegnał się ze sprawnikiem, i wysoka postać naczelnika powiatu, nagle ukazała się w drugich drzwiach.

Sprawnik szybko przechodził kancelaryę, ale miał czas rzucić okiem na stojącego w płaszczu pruskiego poddanego, oczy ich się spotkały. Podróżny nie zmieszał się wcale, tylko sprawnik na chwilę przystanął, zdawało się, że przestraszony chce wrócić, trwało to mgnienie oka tylko, rzucił okiem jeszcze raz na stojącego w progu i wyszedł. W sieni

jeszcze jakby rozmyślając zatrzymał się, puścił dym z cygara i machnąwszy ręką zawołał na śpiącego woźnicę:

— Podawaj!

Wańka, przebudzony, zaciął konia, na co mu ten równie zdumiony odpowiedział wierzgnięciem i błotem, ale dorożka zajechała... a sprawnik rzucił się w nią i ruszył z kopyta.

W chwilę potem podróżny z Ickiem wydostał się z kancelaryi policmajstra i znikł w pomroce ulicznej, brnąc przez grzązkie ulice.

Była godzina dziewiąta, noc czarna z deszczem i mgłą pokrywała już na pół uśpione miasteczko... gdy wysłany na pocztę inwalid... opóźniwszy się mocno, z worem skórzanym pełnym papierów wcisnął się do kancelaryi.

Sekretarz właśnie na tę nieszczęśliwą pocztę do tak późna oczekiwał zniecierpliwiony. Samowar nastawiony oddawna, czuła żona oczekująca nań w towarzystwie podporucznika Miłuszyna... ciepła izdebka i wypoczynek uśmiechały mu się na próżno.

Paramin sam nie zabijał się pracą, ale dla podwładnych w służbie był nieubłagany. Zobaczywszy więc na progu inwalida, sekretarz zrzucił pychę z serca i pobiegł mu pomagać do rozpakowania poczty.

— Czegoś ty się spóźnił? niegodziwy.

— Ja się spóźnił, Wasze Błahorodje! Ja? ja się nie spóźniłem, ale poczta, bo około Jarmuszowa zagrzęzła... przywieźli tylko rządowe papiery na koniach, a reszta w błocie...

— Dawaj!

W mgnieniu oka doświadczony czynownik rozebrał paczki, porozrywał koperty, rozrzucił i poklasyfikował papiery.

Aż trzy pisma, do których lakiem poprzylepiane były piórka, oznaczające pośpiech, z jakiem lecieć były powinny, a na których kopertach stało: „Bardzo ważne“ (Wieśma nużnoje) i — „sekretne“, uderzyły oczy przerażonego sekretarza. Nadzwyczaj rzadko coś podobnego trafiło się odbierać miejskiej policyi, a tu aż trzy naraz pisma sekretne. Nie wiedzieć dlaczego ręce zadrżały sekretarzowi.

— Stój przy progu i pilnuj, ja muszę do policmajstra — zawołał, pochwycił trzy „sekretne“ i z miną ważną wszedł do pokoju, w którym pułkownik z wyciągnionemi nogami, w szlafroku, z cygarem zabawiał się trafnemi żarcikami z guwernantką swoich dzieci.

Jeśli nie miłem mu było wdarcie się w jego kółko prywatne, gdy grał ze sprawnikiem, stokroć bardziej oburzającym wydał mu się sekretarz, napastujący go o godzinie dziewiątej, odpoczywającego po trudach.

Zmarszczył się jowiszowym gniewem... ale nieustraszony sekretarz podał mu trzy pisma sekretne i świecę.

Była to posługa, przechodząca jego obowiązki, ale mu się tem miała wypłacić, iż był pewien, że potrafi tak stanąć, aby na treść sekretnych odezw rzucić okiem.

Pułkownik, nic nie mówiąc, rozerwał pierwszą kopertę... popatrzał chwilę i, pokiwawszy głową, odłożył ją na sofę... nastąpiła druga... brwi się na-

marszczyły, ręka zadrżała! ruszył gwałtownie ramionami i odłożył ją widocznie zaniepokojony. Ale trzeci papier, trzeci, który mu pozostał na zakąskę... tak go przeraził, iż porwał się nagle z kanapy, obłąkanym okiem powiódł po pokoju, chwycił się za głowę i jak szalony wyleciał do kancelaryi.

Sekretarz ledwie mógł za nim podążyć, blady jak chusta i drżący.

Policmajster wyrwany z łona rodziny, piorunem wpadł do kancelaryi, widocznie sam nie wiedząc, co począć, zatrzasnął drzwiami za sobą, pochwycił się za głowę.

— Słuchaj... na odwach natychmiast sześciu ludzi... z bronią... rozumiesz...—rzekł do inwalida.— Powiedz kapitanowi, że jeśli w pięć minut nie będą tu... czynię go za następstwa odpowiedzialnym, rozumiesz... sześciu ludzi, z bronią.

— Słyszę — rzekł równie przerażony inwalid, zabierając się do wyjścia.

— Adamie Prokopowiczu—zawołał, rzucając papierami o stół policmajster — nieszczęście! zguba... Bież do Hryszy, niech mi tu poda mundur, szpadę... każ konie zaprzęgać... Mówię ci... ty, ja... wszyscy pod sąd! Nieszczęśliwa godzina... Przynieś mi butelkę z wódką. Powiedz matronie Iwanownie, niech mi się żadna baba na oczy nie pokazuje...

Sekretarz stał, słuchał i na wiarę starszego ręce łamał nad nieszczęściem, którego głębiny sam jeszcze zmierzyć nie mógł.

— Ale ja głowę tracę...—krzyknął pułkownik. —Adam Prokopowicz... tak... nie... ja idę się ubierać... ty przeczytaj pismo sekretnie... mów, pomagaj... co

robić, a nie to i ciebie, i żonę, i wszystkich dyabli pobiorą...

Paramin wyszedł, a sekretarz rzucił się chciwie na sekretne i bardzo ważne papiery.

Pierwszy z nich oznajmiał pułkownikowi, aby z powodu rozgałęzionego w guberniach zachodnich spisku, dawać jaknajwiększą baczność na przejeżdżających podróżnych, ich paszporta i listy pocztowe.

Już nad tem pierwszem Adam Prokopowicz począł głową trząść, nie umiejąc pojąć i przypuścić, jak na świecie znajdować się mogli ludzie tak zuchwali, tak niegodziwi, którzy spiski knuć śmieli przeciw rządowi.

Drugie pismo było jeszcze gorsze... Wskazywano w niem policmajstrowi, iż przez powiat i miasteczko wiodła droga, którą wedle wszelkiego prawdopodobieństwa uciekający z Kijowa zbrodniarze przesuwać się mieli... rozkazano postawić straże na rogatkach, nie puszczać nikogo bez papierów, a szczególniej dawać baczność na ludzi podszywających się pod nazwisko i paszporty cudzoziemskie.

Zimny pot wystąpił na czoło sekretarza...

— Dla tych ludzi niema nic świętego!—zawołał—paszport! niegodziwi!

Trzeci odezwa, na której wierzchu stała przestroga: „bardzo sekretne“, zawierała rysopis głównego sprawcy, słowo w słowo zgadzający się z rysopisem przed chwilą wypuszczonego zegarmistrza... Dodawano, iż mógł on mieć paszport niemiecki, a nawet pruski...

Sekretarz ręce załamał.

— No tak!—krzyknął—to był on! to był on, ja miałem dobry nos... a pułkownik politykował. Co nam do polityki. Jego trzeba było zaraz w kajdanki... i na odwach... do turmy... to był on... a teraz... szukaj wiatru w polu... Dowiedzą się, że myśmy go przepuścili, że ja mu paszport wizował, złapią go i mój podpis znajdą... tak jam przepadł... przepadł! przepadł!

Sekretarz zrozpaczony zakrył sobie oczy, instynktowo pobiegł do kąta za stołem, dobył butelkę, odkorkował i napił się rumu, który w takich zrozpaczonych wypadkach jeden tylko utraconą przytomność przywrócić może.

— Boże miej miłosierdzie nademną!—zawołał, obracając się do kąta, w którym przed obrazem Zbawiciela słabo świecąca gorzała lampeczka.

Rum i modlitwa dodały mu otuchy.

— Ależ nie może być, żeby on w taką noc czarną dokąd wyjechał? Z bólem zębów! Ba! Jego tak zęby bolą, jak mnie... to udane... Nie! my jego złapać musimy... Pan Bóg łaskaw! Bylem ja go złapał.,. paszportu i wizy i śladu nie zostanie.

Miał znowu otuchy szukać w butelce, gdy pułkownik, który się był ubrał na prędce i pokrzepił koniakiem, wpadł przypasując szpadę.

— Żołnierzy niema... dziesięć minut... a żołnierzy niema.

My jego złapiemy tego niegodziwca... on musi być w mieście — noc czarna, jak piekło i deszcz... on nie pojechał!

— Głupi, taż to właśnie noc do ucieczki...

Sekretarz chwycił się za włosy...

Zastukało w sieniach... w progu ukazał się podporucznik Samojleńko... a za nim karabiny żołnierzy...

— Co tobie pułkowniku—zawołał, śmiejąc się w progu młody wojskowy—czego ty nas po deszczu i błocie niepokoisz... nie pora to tobie spać...

Ale spojrzawszy na twarz bladą i usta drżące Paramina, Samojleńko zamilkł i domyślił się, że sprawa była ważna.

— Konia z siodłem... podawaj konia!—krzyczał pułkownik...

— Co się stało? Co to jest?

— Nic — sprawa rządowa... aresztant bardzo ważny... dzieło polityczne... żołnierze pójdą za mną, obstawią dom, który pokażę, i nie wypuszczą z niego nikogo... a jeżeliby się chciał wymykać... chwytać... bodaj zabić!

Koń stał przed gankiem, równie zdziwiony jak deńszczyk, co go wyprowadził — oba ziewali.

Sekretarz, zakasawszy spodnie, miał z zakrytą połą latarką prowadzić żołnierzy... Wszystko, co było na policyi miejskiej ruszyło na wielką wyprawę. Deszcz lał nielitościwy.

W sprzeczności z ruchem, jaki panował około mieszkania policmajstra, miasteczko przedstawiało widok obumarły i uśpiony. Gdzieniegdzie błyskało mdłe światełko łojowej świeczki odbijające się malowniczo w błocie i kałużach... Bramy domostwa było pozamykane, ciszę głęboką przerywał tylko plusk deszczu i woda płynąca z dachów rynew... W ulicach ani żywego ducha... Sklepy się oddawna pozamykały... Z szynków tylko, i to nie wszystkich, przez szpary okienic świeciło...

Policmajster nie zważając na niebezpieczeństwo, gdyż w miasteczku pieczy jego powierzonem w ulicy po nocy wyśmienicie kark skręcić było można... wśród jam i pływających po błocie dylów, szybko posuwał się ku domostwu Nysonowiczów. Był to jeden z najwygodniejszych domów zajezdnych, który jednemu tylko, grubego Lejzora, ustępował pod względem powierzchowości. Niegdyś była to słynna winiarnia... dziś, niestety, nie szczycąca się już ani Tokajem dawnym, ani Zieleniakiem czystym... Sprzedawano tam jeszcze Maderę i Porter, ale bodaj czy nie krajowego przemysłu owoce.

Dom pogrążony był w ciemnościach, okiennice pozamykane, brama zatarasowana... W milczeniu opasano go... ustawiono żołnierzy u wszystkich wnijść, pod oknami, w około... a policmajster trzymając za rękojeść szpady poruszył mocno furtkę... w przekonaniu, iż była zamkniętą... Ten wysiłek zbyteczny o mało nie stał się przyczyną upadku w progu, gdyż drzwiczki otworzyły się z niespodziewaną łatwością, a pułkownik wpadł we wnętrzne ciemne, ledwie się trzymając na nogach... Ogarnęła go noc... i krzyknął urzędowym językiem:

— Światła!...

Na głos ten, znany, ruszyły się w izbach żydówki i żydzi... czworo drzwi otwarto razem i cztery smugi światła padły w sieni ciemne i puste.

Policmajster pod wrażeniem strachu, niepokoju i srogiej odpowiedzialności, jaka go czekać mogła, rzucił się na pierwszego żydka, który mu się nastręczył, pochwycił go za gardło i zawołał głosem od gniewu stłumionym:

— Gdzie podróżny? mów... gdzie podróżny!... Z całego domostwa zbiegli się mieszkańcy, otaczali pułkownika, sam bardzo poważny gospodarz nie mogąc pojąć co się stało, ale widząc go zagniewanym, uchylił jarmułki i spytał:

— Kogo jasny pan szuka?

— Buntownicy! spiskowcy... ja was nauczę. Gdzie podróżny?

— Jaki podróżny?

Wtem, sekretarz w trop idący za Poraminem postrzegł Icka i przyskoczył do niego.

— Aha! już wy teraz nie wiecie jaki podróżny...

Szarańcza jakaś! Jaki podróżny? a ten, z którym przychodziłeś na policyę.

— A waj! Proszęż jasnego pułkownika do pokoju—rzekł gospodarz.

— Gdzie podróżny? — wołali pułkownik i sekretarz.

— A! proszę jasnego pana, cóż my winni... podróżny się meldował, my jego zaprowadzili na policyę, pan sekretarz jemu paszport podpisał.

— Wziąć jego do turmy—krzyknął pułkownik, wskazując na Icka.

— Albo ja mogę wiedzieć, gdzie on jest... Jak jemu paszport panowie podpisali i nacisnęli pieczęci... poszed sobie furę szukać. Temu będzie godzin trzy, jak go tu nie słychać.

Paramin porwał się za głowę...

— Kłamiesz—zawołał do żyda.

Stary Nyson obraził się, ruszył ramionami i rzekł powolnie:

— Niech panowie sobie jego szukają...

Trzech żołnierzy z karabinami pokazało się od strony wrót, oficer, sekretarz, dwóch policyantów... poszli dom rewidować... Pułkownik, jak nieprzytomny, wszedł do izby, siadł... podano mu flaszkę wina, ·oczął pić klnąć, i klął pijąc. Podejrzanego podróżnego nie było ani śladu.

Po nader pracowitem przeplądrowaniu domu, a nawet lochu, z którego kilka butelek naturalnie żołnierze wynieśli... po zbadaniu posługaczów wytoczyło się protokularne śledztwo.

Okazało się z zeznań Icka, młodej Ryfki, która rybę nosiła podróżnemu, i wnuka gospodarza, który chodził na próżno namawiać go na butelkę wina... iż podejrzany ów mężczyzna przybył zrana, że mało co jadł, że nie pił wcale, iż się z nim i jego niemczyzną rozmówić nader było trudno, że miał z sobą kilka czy kilkanaście pięknych zegarków, że w czasie pobytu zupełną okazywał spokojność, chociaż widocznie się śpieszył z wyjazdem. Dokąd i zkąd jechał? pozostawało nierozwikłaną zagadką.

Sekretarz, który paszport wizował, nie rzucił okiem baczniejszem na poprzedzające podpisy i daty. W każdem innem małem miasteczku z kierunku ulic... można było wnosić, od której świata strony przyjechał podróżny, i w którą się udał—tu... oblane wodą dokoła ruiny miały tylko jedną drogę—którą się do nich wjeżdżało i wyjeżdżało.

Zkąd inąd policya moskiewska, jak wiele innych władz, nie nawykła jest wcale do zapuszczania się subtelnego w drobne szczegóły i wyrozumowanie czynności, u niej gwałt zastępuje bystrość. W Anglii *dedectiv'y* muszą sobie łamać głowę, aby niewinnego nie zaczepić — tu gdy się poszukuje jednego, wolno tymczasowo uwięzić dziesięciu, co tem jest przyjemniejszem, iż się każdy z nich jeszcze opłacić musi.

Na ten raz wszakże policmajster natężył wszystkie władze umysłowe... rozkazał podać sobie świecę i zaprowadzić się do izby, którą zajmował podróżny. Rachował na to, iż tam może znajdzie jaką poszlakę... Pokój, który ów tajemniczy podejrzany człowiek zajmował, szczęściem po oddaleniu się jego nie był zamiatany.

Paramin wiodąc za sobą sekretarza, wszedł doń, zaostrzając wszystkie swe władze... Jedno okienko, jeden stolik, sianem wysłane łóżeczko, które zachowało wycisk ciała, co na niem spoczywało, stołek, wysunięty ku środkowi pokoju—oto, co spostrzegł na pierwszy rzut oka policmajster... Sekretarz wzdychał, ćmiło mu się w oczach, nie widział nic, w uszach tętniały wyrazy—„Pod sąd!“

Wiedział dobrze, iż wina cała na niego spadnie, choć Bogiem a prawdą, reflektował naczelnika swojego na to, że podróżny był cudzoziemiec zagraniczny. Policmajster, chodząc ze świecą, nagle rzucił się z nią, zaglądając pod łóżko... Za niem na podłodze, leżały kawałki podartego papieru. Sekretarz odgadł o co chodziło, ukląkł i pozbierał je jaknajstaranniej.

Papiery były zmięte i podarte, ale na nich tu i owdzie stały urywane wyrazy po polsku pisane.

Paramin uderzył się w czoło.

— Wołać mi tu Icka.

Sekretarz przyciągnął go natychmiast za kołnierz, przestraszonego.

— Odpowiadaj... a prawdę... prawdę! bo zginiesz... Czy izba była wymieciona wprzód, nim ją zajął podróżny? kto ją przed nim zajmował.

— Przed nim? a waj! stał pan Stecki... a czy była wymieciona? pewnie, że była wymieciona...

— A pod łóżkiem?

— Nu... wszędzie... siana nie było nawet na łóżku, a waj...

— Otóż co jest — rzekł zbierając kawałki papieru Paramin — Niemiec... a papiery po polsku.

Sekretarz tragicznie ręce załamał.

— Tych żydów powywieszać! wszystkich na Sybir... są w spisku z politycznymi przestępcami... ot co!—krzyczał policmajster.—I jak być może, żebyście nie wiedzieli dokąd pojechał? przecież mówił? pytał? szukał koni...

— On jechał, a przynajmniej gadał, co ma jechać do Dubna—zawołał Icek.

— A! to ty teraz już wiesz — ryknął pułkownik— do tiurmy z nim! a pod rózgami powie nam wszystko.

Icek począł płakać.

Policmajster skinął, wyprowadzono go... zabrano papiery.

— Koni pocztowych! na gościniec do Duqna!—zawołał—żywo...

Sekretarz już szedł do drzwi.

— Panie pułkowniku—zawołał, zwracając się nagle—jeżeli to taki łotr... to on umyślnie mówił, że do Dubna pojedzie, a pewnie licho go wie, dokąd się wybrał. Trzeba go ścigać po wszystkich gościńcach.

Pułkownik milczący głową kiwnął.

— Do sprawnika! Nie ma co się rozmyślać, trzeba użyć najgwałtowniejszych środków.

Domawiał tych słów, gdy szmer zrobił się w sieniach i wysoka postać kapitana sprawnika niespodzianie ukazała się na progu. Dwaj przyjaciele zmierzyli się oczyma i zrozumieli wejrzeniem.

Sprawnik natychmiast skinieniem za drzwi wszystkich wyprawił.

— Wiecie co się dzieje?—rzekł Paramin, gdy zostali sami.

— Cyt! cyt! bez wrzawy! na co było robić tyle hałasu.

— Ale wiecie?

— Wiem pewnie więcej, niż wy! Odebraliście pisma sekretne.

Sprawnik ruszył ramionami.

— Przecież cały powiat na mojej głowie. Aleksy Iwanowicz... ważne nadchodzą wypadki... trzeba się wziąć za ręce.

Podali sobie dłonie milczący.

— Wy już jedno zrobiliście głupstwo.

Policmajster westchnął.

— Czort-że wiedział co to za ptaszek!

— Jam go widział, wychodząc od was i ja

wam mogę teraz na śmiało powiedzieć, co to za ptak, bo ja go znam dawno.

— Wy go znacie? a czemuż?

— Cyt — ktoby się był mógł domyśleć, że ta bestya skazana na Sybir za politykę... ośmieli się tu pokazać.

Paramin, usłyszawszy te słowa, rzucił się rozpaczliwie.

— Cicho... cyt... sza... Aleksy Iwanowicz... cicho... nikt o tem wiedzieć nie powinien — zniżył głos.

— A no! tak! ja go znam dobrze. Bestya ta spiskowała już w 1831 roku, był wzięty, sądzony w Sybir i wyrwał się w Żytomierzu z więzienia i drapnął za granicę... Ktoby mógł pomyśleć, że on tu po tylu latach głowę przyniesie?

— Wyście go znali?

— O! o! doskonale! zestarzał, zmężniał, ale jak na mnie spojrzał, poznałem go odrazu. Stanąłem, chciałem zaraz do was powrócić i przestrzedz... ale mi wstyd było—a nuż się omylę i wrzawy narobię. Wówczas jeszcze nie nadeszły pisma sekretne... o spisku nie wiedziałem... Myślałem, że dyabeł do dyabła podobny...

Sprawnik westchął.

— A mam do niego ząb! oj gdyby mi się w rączki dostał. I mam nadzieję, że się dostanie... bo wiem, gdzie go szukać.

Paramin porwał się go ściskać.

— Aleksandrze Piotrowiczu—zawołał—ja twój na życie i śmierć... bierz konia bułanego, rysaka... a ratuj mnie i nie gub moich dzieci.

— Bądź spokojny — odparł sprawnik — jutro mi rysaka przyślij i nie mów nikomu słowa. Trzeba powiedzieć zaraz, że to była omyłka, że się pokazuje, że to człowiek nie podejrzany... a ja resztę biorę na siebie. Konie pocztowe zajdą... ja natychmiast w powiat jadę... a ty... pilnuj się w mieście...

To mówiąc sprawnik, który miał więcej taktu i mocy nad sobą, począł się śmiać głośno, wychodząc... aby głos jego słyszano.

— Pusta rzecz—rzekł na progu—pusta rzecz, głupstwo! zegarmistrz, tak, Niemiec, zegarmistrz! Odprawcie żołnierzy, niema o co robić sprawy. Żydka wypuścić.

Sekretarz zdziwił się temu nowemu obrotowi, ale nic nie rzekł. Paramin westchnął i wszystko powoli powlokło się do domów, ale sprawnik, nie tracąc chwili, z dwoma żandarmami siadł na bryczkę pocztową i nocą pojechał. Dokąd? nie wiadomo.

Są w dawnych prowincyach Polski, które się dostały pod panowanie Moskwy, wioski, mające skutkiem podziałów, zwanych eksdywizyami, które wierzycielom za długi wydzielały ziemię i włościan — tak porozdrabiane własności, iż w jednej części po pięć i sześć szlacheckich dworków się spotyka. Trafia się, iż za niewielki dług dostał ktoś kilkanaście morgów i jednego chłopka,... z którym na współ około gospodarstwa pracować musiał.

O parę mil od miasteczka wzmiankowanego, u brzegu rzeki, spotyka się właśnie jedną taką osadę, liczącą ośmiu panów, po większej części tak prawie ubogich, jak włościanie. Pobudowane naprędce liche między chatami dworki mieszczą tych nieszczęśliwych męczenników, mrących na swych dziedzictwach z głodu. Dla ziemskiej policyi owego czasu tego rodzaju podzielone posiadłości były niemałym kłopotem, ale też i najpewniejszą pastwą.

Tu ona mogła dokazywać bezkarnie, a że powodów do przyczepek nie brakło, nie było prawie dnia, żeby tu sprawnik, asesor, lub choćby jaki pisarczyk nie gościł.